7945

Bibl. Jag.

IV

I

WITOLD HULEWICZ

Kilka fragmentów z rękopisu pod tytułem:

. . . .

/ B E E T H O V E N A C Z Y N
I C Z Ł O W I E K /

W Hulewicz

20/III. 1926. Wilno.
(Teatr Reduta)

FRAGMENT I str.7-15.

Poczęło się to życie pośród bólu,mroku i duszności. Zjawiło się tak nieprzygotowanie,tak blado,że on sam chwili swego przyjścia nie wiedział i pytany,mylił się o dwa lata.

Dziad Ludwik van Beethoven,emigrant holenderski, dostojna postać patryjarchalna i duchowy ojciec swego wnuka-imiennika, któremu przekazał wielką część przymiotów duszy i charakteru, umierając /1773/ zostawił niegodnego syna Jana i godnego wnuka Ludwika, naówczas trzyletniego. Dziad, jak i liczne grono jego przodków, zaprzedał duszę sztuce. Bo i malarzy znajdziesz w poprzednich generacjach i rzeźbiarza i muzyka. A liczne małżeństwa z córami malarskiej Holandji przyczyniły się znacznie do zamiłowań artystycznych tej rodziny, która dopiero w roku 1733 znalazła stałe siedlisko w nadreńskiej Bonn. Próba atawistycznych dedukcyj mogłaby wykazać w największym Beethovenie i największym muzyku niejeden pierwiastek o krwi pokrewnej z niderlandzką płaszczyzną, jej czarnemi mokradłami, jej morskim bezmiarem i niesłychaną sztuką.

Syn zatem Ludwika,osiadłego w Bonn w charakterze nadwornego "muzykanta" elektora księcia Klemensa Augusta z roczną pensją czterystu reńskich guldenów,niegodnym był synem. Słaby talent i rozleniwiony trzpiot, który wolał wycieczki w wesołej kompanji od żmudnej pracy szkolnej i śpiewów w mrocznej kaplicy. W dwudziestym czwartym roku jego życia ojciec jego napisał petycję do księcia z prośbą o przyznanie synowi stałej pensji,"jako że przez lat trzynaście bez wynagrodzenia głosem swoim prześpiewał sopran,kontralt i tenor,a i do skrzypiec pojętnym się okazuje" - wskutek czego Janowi przyznano sto talarów rocznie. Z takim dochodem stwarza ognisko rodzinne,poślubiając Marję Magdalenę Laym /z domu Keverich/, młodą wdowę po kamerdynerze elektora trewirskiego,córkę naczelnego kuchmistrza na zamku Ehrenbreitstein.

Niewiasta o cichej,ofiarnej duszy,jedna z tych, które są stworzone do długich bolesnych dni ciężkiego żywota,do dławionych,przez nikogo

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

niewidzianych łez,do fatalistycznej brzemienności i wiecznego żegnania własnych płodów. U boku zwierzęcego opoja nabiera wszelkich znamion męczennicy. I taką ją widzi syn: z głęboką zmarszczką wiecznego smutku na czole,co nie śmiało się nigdy, z duszą jasną i cichą. Mówi jej nieraz syn, że tylko w niej ma zwierciadło swoje,że cichy jej profil poniesie z sobą na zawsze przez życie całe,całe...

A Jan tymczasem, kurcząc dochody, na trunek wydaje skąpe guldeny i u księcia-łaskawcy żebrze faworu i grosza.

W tej atmosferze przychodzi na świat Ludwik van Beethoven.

Pierwszych kroków uczyły go brutalność i człowiecze zwierzęctwo. Wśród ciosów krzepnie nazewnątrz już w chłopięcych latach i opiekunem staje się ojca własnego. Do bezwzględności życia przywyka wcześnie i wczas uczy się odzewnętrzniać punkt ciężkości, wszelką chyżość mijających fal sprowadzać do wnętrza, do odśrodkowego s e n s u. Oto sztandar przyszłych wielkich bitew. Tylko tak niesłychana potencjalność przedrzeć się mogła bez szwanku przez zgniły opar rodzicielskiego pijactwa,przez powabną błyskotliwość laurów "cudownego dziecka", przez ordynarność fałszywych metod pedagogicznych. Od wczesnych lat zwrócony ku nieznanym głębiom, przeocza nieznaczne szczegóły życiowe i niekiedy przytem skronią uderza o wystające stwardniałości zwyczajów. Stąd za roztargnione,nieokrzesane dziecko poczytywany bywa.Ale się w nim wcześnie grube oczy ludzkie dopatrują przebłyskujących ogni i mówią: "talent!" Na akademjach grać, o przychylność książąt żebrać, kiesy przysporzyć wagi - droga obliczona nieźle na zasypanie krynicy u samego początku.

Od czwartego roku życia niezwykły talent wyzyskuje ojciec w kierunku obiecującego źródła dochodowego, przewrotnie zapatrzony w karjerę cudownego dziecka Mozarta. Wiele opowiadano o tem wśród znajomych, jak widzieli nieraz Ludwika, "małe chłopię na ławce stojące przed fortepianem,nieubłaganą surowością ojca tak wcześnie do niego przykute."

To wszystko nie skoszlawia. To sobie tam którąś drogą mizernie się toczy, a chłopię tu j e s t i w siebie wpatrywać się poczyna z rozkoszną

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

ciekawością. Już pierwszy zjawia się pedagog i podnieca pierwsze gorączkowo w duszy wibrujące struny. "Rzadko Pfeiffer na flecie grał...Kiedy wszelako grał, a Ludwik ku niemu na klawikordzie przygrywał,to na ulicy ludzie przysłuchiwali się z uwagą i chwalili piękną muzykę."

Ów Pfeiffer jednak,śpiewak i zdolny pianista,zaszczycony w historji muzyki tytułem pierwszego nauczyciela Beethovena,przez ucznia w późniejszej nędzy wspomagany pieniężnie, w świetle prawdy nie okazuje się godnym tego miana. Raczej był dzielnym towarzyszem pijackim ojca - i dowiadujemy się, że kiedy nieraz po nocnej hulance wracali obaj do domu,wyciągali chłopca z łóżka i do rana znęcali się nad dzieckiem,każąc mu grać na fortepianie.

Staje więc dziecko najzupełniej bezradne,zamknięte,brwi marszczy i zaciśnięte piąstki kładzie na klawiaturze, którą mu znienawidzieć każe ojciec, każe nauczyciel. A z klawiaturą duszyczka związana raz na zawsze. Wściekłe łzy grożą z oczu rozwartych w przerażeniu. W duszy rwie i ściska, w duszy do czegoś tęskni, a niema ręki, niema pieszczoty , niema rady. Pierwsze odruchy życia zatruwa gorycz rozterki, trzymająca się zawsze zdala od dzieci, przetapiająca boleśnie tego już-człowieka.

Jakże mu teraz dzieckiem być, za motylkami hasać i w mirażach radości się nurzać! Radość zachowają mu losy na kres życia. Teraz krzepnie,odgradza się od ludzi i wesołych żartów dzieciństwa. Zbyt wcześnie życie na jego karku położyło ciężką łapę. A nie był takim z natury. Dzieckiem umiał być przecie i niejeden płatał figiel. Teraz już stroni od gonitw i krzyków, a kiedy wątłe ciałko drży przed głosem ojca i katowską ręką, wzrok poprzez okno utkwiony zatapia się w przestrzeń, smutna myśl trzepoce wkoło skroni, a kiedy go ktoś zawoła, nie słyszy. Tak ciężkie a tak cudowne go zaprzątają obrazy! Powiedzieć tego nie można, bo i wogóle nie chcą ludzie, by do nich mówić. Ale obrazy gwałtowne zaczynają stukać i walczyć o swój wyraz. Więc mówić - po co? Matce chyba - ale niema jej już, tylko został w duchu cichy profil, dobry i męczeński. Oto lepiej w oknie zabrudzonem siąść w śpichlerzu /nie zaraz wróci ojciec/ i hen w dół patrzeć na spokojny,

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

dobry Ren i na dalekie,sine szczyty Siedmiogórza. Jaki dobry,głaszczący, zawsze równy,nigdy zły, nigdy pijany - Ren. Mówi ojciec-Ren: o zapomnij, zapomnij! Nie myśl o nocach zgiełkliwych i pijanym wrzasku tych,co pędzą cię do sztuki. O poduszce-powiernicy zapomnij, która tyle skrytych, słonych łez wchłonęła. Patrz,jak płynę beztroskliwie, potężnie, łagodnie i wiecznie. Patrz, jak się w mojej fali załamuje grom i brud i piana i łoskot codzienny. Jak w niej cicho przegląda się księżyc i zrąb milczących gór, a gładka Loreley włos czesze złocisty na skale i nuci odwieczną pieśń żywota twego.

I chmurne góry Siedmiogórza oddzwaniają do wtóru.

Wtłoczony w dale wzrok wchłania obrazy i myśli pchają się tłumnie, bezładnie, i ból rozsadza i rozkosz przenika wszystko - i żadnej rady niema i niewiadomo, co jest, co być może, co ma być, co będzie. Przyjdzie ojciec okrutny i znowu będzie twardy,ciemny dzień - mój dzień. A potem - jednak coś, jednak inny świt, inna dola i los więcej bolesny, ale wielki,ale mój!

W takich momentach zapatrzenia się w Ren, gadania poufnego ze szczytami Siedmiogórza, w takich momentach czasu naprędce stłoczonego między dwie z obmierzłymi nauczycielami lekcje - jest się nie dzieckiem bitem,ale człowiekiem, nie głupiem popychadłem, ale na wszystkich piorunów błysk!!- czemś małem jeszcze, ale czemś, ale potworkiem godnym uwagi, u-wa-gi!!!

Tak rodzi się duma,ta straszna, cierpliwa, zacięta, nieustępliwa i długa, wściekła duma ducha gniecionego z zakneblowanemi jeszcze ustami! To dobrze, to ma tak być, że się materjał wybuchowy więzi w ciasnym lochu - bo czasu potrzeba i dojrzenia, bo to jeszcze przyjść nie może, bo na Boga! wszystkie żyły świata pęknąćby mogły - gdyby przedwcześnie,gdyby...

Cicho - cicho...

Fragment II str. 20-26.

Salonowa politura wychowania bezskutecznie usiłuje przylgnąć do ciepkiej skóry młodego Ludwika, choć już podrastał zastraszająco. Szkolne wysiłki obywają się bez laurów. Walka z ortografją nawet i tabliczką mnożenia przeciąga się po-za ławę uczniowską daleko w ciężkie, chmurne życie. Dzieckiem rokokowej epoki nie był - nie epoka go tworzyła, ale się pod nim gięła i ustępowała. Epoki wykuwać miał on.

Sztuka wybujałego, rozleniwiałego estetyzmu, bliska prawdzie tej epoki, obłudnie zabijająca prawdę życia, sztuka romansów berżeretowych i pasteli Watteau,wypieszczona paluszkami metres Króla-Słońca, prześliczna i gładka, niemocna i anemiczna, płaska, zewnętrzna, lepko łasząca się wkoło herbów i brylantów. Epoka bogatego tłumu, co utonął w krwi rewolucyjnej. On niósł epokę drugą.

Najzupełniej komicznie działa na nas opis kostjumu, w jakim Beethoven przedstawić się musiał na dworze książęcym: "zielony frak, biała jedwabna kamizelka w kwiaty, zielone krótkie spodnie ze spinkami, jedwabne pończochy, pantofle o czarnych kokardach, kapelusz składany pod lewą pachą, szpada u boku i włosy ufryzowane w harcap otoczony lokami".Tak pociesznie wystrychnięto tę postać młodzieńca, krępą, o szerokich barach, ciemno-śniadej cerze, pochyloną naprzód, z głębią szukających źrenic, o czuprynie z natury dziko zwichrzonej i z jasnem, spadzistem, burzami otoczonem czołem. Obraz taki to symbol herosa romantyzmu, co nieopatrznem stąpnięciem zgniótł i strącił za siebie stulecie szminki, pudrowanych peruk i beztroskiego ślizgania się po miłej powierzchni pachnącego życia.

Nauka u Mozarta trwała krótko, przerwana niespodzianie wiadomością o ciężkiej chorobie matki i powrotem Ludwika do Bonn, gdzie najbliższą na świecie istotę zastał na łożu śmierci. W liście do doktora Schadena tak opisuje te chwile: "Matkę jeszcze zastałem przy życiu, ale w najgorszych warunkach; miała suchoty i umarła wreszcie, mniejwięcej siedem tygodni temu, po licznych przebytych bólach i cierpieniach. Była mi tak dobrą, miłości godną matką, moją przyjaciółką najlepszą; o!któż był szczęśliwszy nademnie, kiedym jeszcze mógł wymawiać słodkie imię "matka" a ono słyszane było - i

komuż teraz mogę je wołać? Czy niemym tym, jej podobnym obrazem, które mi moja imaginacja gromadzi?"

Stanął u zwłok matki i w tej samej chwili uczuł, że ten pierwszy mizerny skrawek ziemi, który zdobył w krwawym trudzie, usuwa mu się z pod wątłych stóp. Ciemna opona rzuciła się w jednej chwili na jego horyzont. Zakopał w ziemi pierwszą drogą duszę i został sam. Z duchem rozpętanym pierwszemi burzami szerokiego świata. Z krwią w żyłach po raz pierwszy wzburzoną, kipiącą twórczym wrzątkiem, pobudzoną na dalekiej arenie i rwącą się w chmury. Tam, tam w Wiedniu, gdzie jest wielka sztuka, gdzie mitry i korony gną się u stóp fortepianu, gdzie jest mocarny gest i gdzie nie trony rządzą, ale tony, nie herby pierwszy mają głos, ale symfonje!

Pod młodą czupryną, w rozchełstanem kotłowisku kipiącej fantazji roją się zawrotne obrazy nieprawdopodobnych czynów, szalonych orgij muzycznych, mających w pierwszem przeczuciu d o p o w i e d z e n i e tego wielkiego słowa, na które czeka wielki Wiedeń, czeka armja zdumionych książąt, markizów, hrabiąt i cesarzy, czeka ten szeroki, nieznajomy, nieświadomy, a piękny, boski, bohaterski i ogromny świat! Grać i pełnemi garściami szarpać strzępy najgórniejszych niebios i mizernym ludziom pokornie je pod nogi kłaść i mówić i krzyczeć spazmem najszczytniejszej radości: Bierzcie, wy spadkobiercy niewidomi kapłanów, królów i proroków! Mam tego kruszcu jeszcze miljardy w garści, jeszcze oceany całe, bierzcie chciwemi rękami, nie żałuję wam, starczy na kilkanaście tysiącleci!!

Ooo! I staję przed cichą, małomieszczańską, żółtą, prostokątną i tak przeraźliwie trzeźwą mogiłką matki - rodzonej, mojej, własnej matki, i jakby mnie kto kamieniem ciężkim w mój łeb kwadratowy zdzielił. Stoję cicho nad tą mogiłką, a obok mnie podchmielony ojczyma w odświętnym surducie - i - wybaczcie! - na jedną chwilę zrzekam się odpowiedzialności za wszystko, co mi się pod czupryną wylęgło - i na jedną chwilę nie chcę tworzyć, nie chcę pędzić, nie chcę piorunów wykradać, nie chcę grzmieć, nie chcę, nie chcę....!

Jestem mizerny, brudny, rozczochrany, głupi, zapomniany, okradziony z wysokich haseł - Ludwik Beethoven, który nic nie umie, nic nie wie, przypadkowo był w Wiedniu, mimowolnie słyszał mistrza Mozarta - i coś mu się w tej śmiesz-

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

mej łepetynie uroiło - a sam jest głupi, kanciasty i nic nie wart. Wybaczcie - w tej chwili stoję nad tą pocieszną mogiłką i płaczę na chwilę, na chwilę ryczę od płaczu - bo to moja matka - rodzeniuteńka - więcej - bo to matka-brat - matka-przyjaciel - matka-łza - matka-symbol - matka- miłość...

Opieram się o surdut podchmielonego ojca, który z handlarzem targuje cenę matczynej garderoby - i na ten surdut szanowny padają moje pierwsze, twarde łzy. A te łzy są słone, są brutalne, to są ostatnie, zawzięte łzy bardzo dorosłego smarkacza, to są łzy podnieconej bestji, która oto losowi mówi: koniec! Łez mi więcej nie wyciśniesz!! Na całe życie zamykam się i ani jednej łzy więcej nie wypuszczę. Że życie będzie kamienne, wiem; że życie będzie długie, wiem; że życie będzie nieraz blednąć od bólu, wiem - i że ja mniej twardy od życia i od ciebie, losie, n i e będę - też wiem.

Tymczasem ostatni raz, głośno, publicznie, bez wstydu płaczę i opar moich łez ostatnich miesza się z wyziewem zgniłym ojcowskiej wódki.

Ostał się sam.

W ogromnem, pustem sklepieniu jego piersi jeszcze się gruz osypywał głucho, poszarpane wichurą drzewa sterczały nieruchomie. Zaległo milczenie nic nie mówiące, pustka ciszy. Rozpoczęty śpiew bohaterski urwał się nagle, boleśnie. Zwisały krwawe ścięgna potarganych węzłów, brutalne i brzydkie. Otwarła się w całej nagości wyszczerzona nicość, własna małość i w oświetleniu prawdy odsłoniła przeraźliwą odległość tamtych dni, tamtych wzlotów, tamtych mistrzów.

Człowiek robi się mały. Człowiek wtłacza w siebie gwałtem niesforne chęci szybowania, człowiek sam siebie za rękaw ciągnie i pchać się nie pozwoli natrętnie między mistrzów. Człowiek mówi sobie w oczy gryzącą prawdę: precz z niegodnemi rękami! Świadomość niedorośnięcia bierz na siebie pokornie i podźwigaj się z nią jeszcze przez lat kilka, a może kiedyś godnym się staniesz rozwiązania rzemyka - tamtym - w Wiedniu...

Żal jątrzący chwycił go za gardło. Nawiedziła go ciężka choroba duszy. I w piersi osadził się pierwszy kieł choroby fizycznej.

"Los tu w Bonn nie jest mi łaskawy".
W tym czasie Ludwik jeszcze nie ukończył siedemnastu lat życia.

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

W tych samych latach, w ciasnych, cichych ścianach, niesamowity w swym uporze pracy Immanuel Kant pisał "Religję w granicach czystego rozumu". Z odległych zakątków Europy dyliżanse zwoziły do stóp katedry królewieckiej magnatów i filozofów, żądnych słuchania tego człowieczka o niebieskich oczach i czaszce murzyńskiej, co przez życie całe nie ruszając się z murów Królewca, żyjąc w ubóstwie i zazdrośnie strzegąc swej izolacji, rewolucję uczynił większą od Wielkiej.

Dziwny ów odludek, nie podróżując, znał ziemię lepiej od podróżników i wykładał geografję fizyczną. Dwanaście tomów spekulatywnej filozofji rzucił na łono idącym stuleciom - a po dzień dzisiejszy n i e przeszedł do historji, bo wciąż stoi w żywym ogniu krzyżowym sporów: ataków i obrony, entuzjastów i wrogów. Wyrosły na tradycyjnym gruncie dogmatyczno-metafizycznej szkoły Wolffa, przeszedł do empiryzmu, który w Dawidzie Hume objawił się w kształcie sceptycznym, by w konsekwencji tej ścieżki znaleść swoją własną, przestrzenną drogę: k r y t y c y z m u - w wędrówce ku swojemu celowi, który sam temi słowami określił: "rozum ludzki w tem, co zajmowało jego żądzę wiedzy zawsze, acz dotąd daremnie, doprowadzić do pełnego zaspokojenia." On, który stworzył nową estetykę, nowe ufundował dowody istnienia Boga i nieśmiertelności duszy, własną ręką stworzył niesłychany gmach nowej etyki, a granice człowieka poszerzył i rylcem pracowitym wyrył w duchu ludzkim - ten tytan produktywnej myśli miał prawo dumnie porównać dokonanie swoje z przełomem Kopernikańskim. Skupił w swej głowie, mozolnie, cicho i zbożnie wypracowując zasadę subjektywnego idealizmu, tak nieprawdopodobną energję myślenia i nadał rozumowym dociekaniom ludzkim rozpędu na taką metę, że impet ów trwa niesłabnący i ciągnie za sobą tysiące umysłów, setki tomów literatury filozoficznej, że bez drgnięcia przetrwał upadek filozofji romantycznej i reakcję materjalistyczną XIX wieku, a w dzisiejszym dniu nabiera nowych znaczeń.

Myśli swojej nie rzucił Kant światu w chwili jasnowidzenia, ale ją w niezmordowanym znoju wypracował do ostatniego szczegółu i cały gmach ciężki, granitowy, kolosalny, w krwawym trudzie zbudował - a głaz każden znosił na własnych, głęboko przygarbionych plecach - i potomności skromnie przekazał.

Z tą lawiną potężnie rozpędzonej myśli ludzkiej spotkał się w ostatnich

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

latach bonońskich Beethoven. Spotkać się musiał. Bo to zbyt huczne było i za daleko sięgające, aby nie miało na jedną chwilę stanąć oko w oko z idącym w świat największym duchem muzyki. Histórycy i biografowie tego w brzemiennych chmurach groźnego spotkania nie doceniają. Kant u Beethovena więcej znaczy, niż mówią pozory i daty archiwalne. Nie mogą dwie nawałnice, jednocześnie wśród błyskawic przewalające się po niebie, wzajem siebie nie słyszeć.

Kant, klasyfikujący kategorje czystego rozumu i kładący kamień węgielny nieuchwytnego "Ding an sich"; rozgraniczający istotę od ułudy, poznawalne od niepoznawalnego. Beethoven ponad rozumem i ponad kategorjami gospodarzący, wśród z groźnego milczenia światów zuchwale s i ę g a po niepoznawalną, nieuchwytną i s t o t ę - a kantowski Imperatyw Kategoryczny w niebywały sposób realizuje w ogromie swego dzieła...

Wbrew spodziewanym uśmiechom stwierdzić można i trzeba łączność, a przytem biegunową diametralność artystycznej treści Appassionaty i Symfonji Dziewiątej z zewnętrznie suchym, spiżowym, nieludzkim już, zabójczo logicznym systematem koncepcji Kantowskiej.

Można rozkoszować się na wspólnych wycieczkach majestatem przyrody nadreńskiej, w rozrzutnym przepychu rozścielonej szeroko na zboczych Bonn i Godesbergu. Ale bliżej się jest natury i wyraźniej słychać jej głosy, kiedy się jest samotnym. Niech drwią z dziwaka, niech smutna pani nazwie znów "raptusem" - już przyrzekam, że zwalczę mój wstręt do udzielania lekcyj, już mi nie powie "ty oślątko chimeryczne" - ale teraz idę sobie prosto w górę, otulony gęstym granatem tajemniczej świerczyny. Za mną bogata mapa w łagodnym opadzie zieleni się aż do sinej wstęgi Renu, mego przyjaciela. I po jego drugiej stronie ucieka w dal i coraz ciszej błękitnieje i hen, hen znika w niebieskiej taśmie niedosiężnych borów.

Na polance drzewa rozstąpiły się i wdzięcznym gestem wskazują mi siedem drogich, poufałych szczytów, od wielu lat pocieszycieli w najgorszych godzinach.

Staję na stromym, zwietrzałym, zielono brodatym głazie, przykładam muszlę obu dłoni do ust i ponad urwiskiem wołam przeciągle:

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

- Ohej! Smocza Skało! Ohe-ej...!

Starowina leciutko zakołebała się, powiała szmerem wiatru po ciemnej grzywie leśnej i dała znak, że jest.

Wołam drugiego towarzysza.

Hemmerich sędziwy z koroną zwalonego zamku na skroni mruga ku mnie dobrotliwie.

- Lwia Góro !

Drgnęła, aż z baszty zmurszałej cisnęło się w chmury stado ptactwa.

I odzywa się Nonnenstromberg i Góra Oliwna, a potem głowę zadzieram wyżej i czuję z wysoka płynący oddech ciepły podniebnej Wolkenburg, a na samym końcu gdyby dzwonek drga srebrnie od maleńkiej kapliczki na Górze Piotrowej.

Są. Są wszystkie. Siedmiu było mędrców, sakramentów siedem i siedem od prawieków moich szczytów Siedmiogórza.

Legenda się tu panoszy na każdym listeczku, mit niepamiętny okala gęstą aurą zręby skaliste. Uderz sercem o głaz, a miej w sercu wiarę i pokorę: zaraz ci tłum smutnych brodaczy osobliwą bajkę wyszumi o cudnej, alabastrowej Agnieszce z Mansfeld i księciu Gebhardzie - a nieco dalej ktoś powie półgłosem: Melanchthon - a na siedem łokci pod skałą we śnie poruszy się jasna, złocista apoteoza pratypu germańskiego, na łusce smoka od niewielu tysięcy lat drzemiący - Zygfryd!

Już wyżej. Więcej w piersi miejsca, chłodniej i ciszej nad czołem. Moc i młodość idzie od tych starych gór. Tak można przez chwilę nic nie myśleć, zamknąć oczy, słuchać...A potem patrzeć i słuchać. Dobre trzeba mieć ucho, ten najbardziej nerwowy zmysł ludzki. Że to, co inni mają w ustach, ja potrójnie mam w uchu, więc krzywo się patrzy na mnie i dzikim nazywa, odpychającym. Tylko smutna pani wie, w jakiej to ciszy szukać trzeba klucza wewnętrznych światów i jak to boli, że go znaleść nie można. /Wy kochani, biedni moi towarzysze: czemu młodość dla was musi być rozpustą dusz, fantazja musi o brud się ocierać, a wolność młodzieńcza brzydoty ominąć nie umie?/ Ucho to cudowna, misterna rzecz.

Jeszcze wyżej. Nie myśleć. A teraz oczy szeroko !

Wolno, przeciągle nad przeciwległem wybrzeżem Renu powstają gorące opary

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

lipcowego południa. Liljowa atmosfera tańczyć zaczyna żywym, skwarnym rytmem tańca. O dziesięć stąd mil, na południu, ojciec Ren zamyślił się błękitnym, regularnym znakiem zapytania. Potem schował się na dobre dwie, trzy mile i z wyniosłego koryta już tu bliżej wysuwa się nieporównany, majestatyczny, niewypowiedziany - i już inny, już szeroki do mnie płynie, już poważny, już w i e d z ą c y .....

Powiedzże, ojcze Renie, no powiedz...

Krzewy nadbrzeżne przytulnie w rzędzie pochylają się nad nim. Domek czasami podsunie się bliżej i ciekawie nadstawi dach czerwony, ale nic nie usłyszy, bo to mowa tylko dla drzew i kamieni, a człowiek rozumie bardzo rzadko, ale wyjść musi z domu - daleko - wyjść zupełnie - i być s a m.

Powiedzże, ojcze Renie, no powiedz...

Płynie, płynie dalej, mija śliczny, ubogi Godesberg najobojętniej i teraz jest po prawej ręce - ktoś po nim pływa w łodzi i ryby łowi, więc on się zaciął, stare dziwadło - ale zaraz jest znów samotny.

Jesteś chłopię obarczone ciężkiem brzemieniem. Zawiązano ci oczy i powiedziano: patrz! W uszy napchano wiele i powiedziano: słuchaj! Pośrodku targowiska tłumnego postawiono cię i powiedziano: napawaj się ciszą! Ty brzemię z ramion ciśniesz, ty słyszeć będziesz nawet w ciżbie, a poprzez przepaskę widzieć.

Cisza.

Powiedzże,ojcze Renie...

Ale Ren lekko się zakręca, chyli trwożnie głowę, nagle zwęża bieg w strome kamienne omurowania - i z zaciśniętemi wargami, bacznie, pogardliwie a dumnie wtacza się w zgiełkliwe mury miasta Bonn. Raz i drugi kurczy się pod mostami dudniącemi, coraz to się otrząsa od fetoru dopływów miejskich, raźniej płynie i gniewniej.

Teraz to już nic nie powie.

KIEROWNICTWO REDUTY
WILNO POHULANKA

Fragment IV str. 50 - 52.

Nad Francją rozpętał się huragan Wielkiej Rewolucji.

Rozjuszony sankiulot z krwawym nożem w zębach szalał po ulicach Paryża. Na lipcowem rumowisku Bastylji, widomym symbolu wyzwolonej pięści ludu, gilotyna niezmordowana nizała różańce głów magnackich. Z bestjalskiej mordy strumień kału i plwocin rzygał na prawo, na tradycję, na świętość, na organizację. W kościele na ołtarzu syfilityczna wszetecznica oddawała się rzeźnikowi. Wolterjański posiew wybujał w dziwny kwiat. Zdławiony bunt w zbyt długo kneblowanem gardle przerodził się w rechot plugawy. Czerwona fontanna szyderstw, przedajności, zbrodni, bluźnierstwa, ostatniej nędzy i oślepiającego przepychu gorącą ulewą bluznęła po walącej się starej Francji. W bryzgach pożogi majaczy idąca nowa moc, wyłania się rozkuty, groźny kontur zbudzonej potęgi: motłochu. Kordeljer gra rolę kapłańską, sprawiedliwość oddana w ręce oligarchji od krwi pordzewiałego triumwiratu. Gody republikańskie rozhasały się w ochrypłym tańcu.

Jourdan na lancy niesie godło nowego porządku; głowę ludzką:

W górę sztandarze krwawy! Czy na polach słyszycie ryk żołdactwa, co dusić idzie syny wasze i dziewki? Wolności, wolności złota! Pod wasze przyjdź chorągwie i walcz i patrz, jak sczeźnie wrogów tłuszcza.

Obywatele, do broni!
Bataljon idzie w rzeź !
Sława przed tobą, sława cię goni,
A ziemia twoja pieśń krwawą dzwoni:
Wysoko sztandar nieś !

W niesamowitej kolejności padają głowy Ludwika Capet, Marata, Charlotty Corday, Marji Antoniny, Dantona, Robespierra. Z nikczemnych oparów powoli wznosi się Świat Nowy.

Ta orgja sztyletów i chuci, ta nawałnica wyładowująca napięcie nagromadzone w Europie przez wieki - na chwilę przesłoniła cel, sens, ideę. Ideę poczętą w tworze Jana Jakóba Rousseau. Ona szybko głos odzyskała w radosnem zawołaniu wolności, równości, braterstwa. Ona ponad dymiącym krwią Paryżem

- cicha, zadumana, wielka - stała, by przeczekać dzikie pioruny i z cuchnącej flegmy, z odrażających wymiotów łożyska jasno się narodzić, na chwilę dłoń w ukojeniu złożyć na skroni znękanej gromady ludzkiej.

Tak przyszła na świat, w niewielkiem od cichego, rozmuzykowanego Bonn oddaleniu, idea nowożytnej Demokracji.

A pod Tulonem grzmiały działa oblężnicze młodego Korsykańczyka, co niebawem wmieszać się miał w dialog dwóch epok. Na drodze jego stanie Beethoven.

13a

Fragment V. str.63 - 68.

Najbliższe lata zastają go w zmienionych najzupełniej warunkach. Z wizyty u księcia Esterhazego w Eisenstadt nie wraca już do skromnej izdebki, gdzie spędził półtora roku pobytu w Wiedniu, lecz do salonów księcia Lichnowskiego, w których mieszka odtąd i tworzy i czuje się jak w rodzinie. Sława jego w najwytworniejszych domach rosnie. Stosunki przyjaciela Waldsteina torują drogę. Zaproszenia na wieczorne koncerty prywatnych zespołów mnożą się. Niezrównane improwizacje, technika, dziki temperament, imponująca gra a prima vista, budzą powszechny zachwyt. Prywatne turnieje koncertowe z najgłosniejszymi wirtuozami Wiednia przysparzają swietnych wawrzynów. Gwiazda nabiera jasnych, łatwych blasków. Lichnowski płaci stałą pensję. Własny, z osobistej kieszeni kupiony wierzchowiec nadaje wysokiego tonu. Życie robi się gładkie, letnie, miłe. "Maluczko, a księżna klosz nademną szklany zrobić każe, iżby nikt nie dotknął mnie niegodny albo nie dmuchnął na mnie."

Wówczas zjawiają się niekiedy chwile zastanowienia, samotne artystycznego sumienia rachunki: - Sława - jest i kusi; bogactwo - brać je na każdym kroku; karjera - ściele się mirażem ponętnym, ale realna, już zaczęta i już szeroki gosciniec; możność pracy twórczej - ? Czy właściwie to wszystko tę pracę ułatwia? Czy do niej przybliża? Czy własnie, właśnie tej pracy nie ukazuje w mgławych konturach złudy, by do niej podejść i...nawet nie spostrzec, jak lekko z rąk się wymknęła?

W miljonowem, hucznem, rozdygotanem, swarliwem miescie, co w białą noc jaśminową nad parkiem szumi jak zbolałe nerwy, a za dnia wlewa się przez okno skomplikowanym stukiem, dysharmonją pragnień, złości, gwizdów, tętentow, przekleństw, niepokojów - w miescie, gdzie przechodnie siebie nie widzą, gdzie czas ucieka, gdzie pośpiech jest pierwszym nakazem a miłość ostatnim - gdzie to wszystko stłoczyło się panicznie, przed zalewem cywilizacji, w kilkunastu pałacach wkoło posmutniałych hebanow i eleganckich linji skrzypcowych i zamglonych złotych blach - w miescie takiem być swoim, prostym człowiekiem. Rękami zgarnia się to wszystko, co ciche, pierwsze, bliskie, nie-ludzkie, co się

na czole osadziło i w kącikach ust i pod powiekami nieufnemi - i czemprędzej zazdrośnie pcha się to do środka, z oczu ludzkich, pod skórę, gdzie jest jeszcze kąt nietknięty. A co się napisało, tego broń Boże nie pokazywać, nie znieważać podsuwaniem pod te oczy natrętne, nieszczere - fachowe! - Takie to są rachunki sumienia.

W salonach Lichnowskich, Browne'ów, Swietenów, Schwarzenbergów, Liechtensteinów - Beethoven - pianista porywa, Beethoven - twórca budzi kiwanie głowami, Beethoven - człowiek sieje rozczarowanie, szepty, zgorszenie, a potem albo niechętną tolerancję, albo /rzadziej / życzliwość głębszą. Co za brzydota, co za manjery..., jaka zarozumiała wyniosłość, dumne milczenie..., mieszczek czupurny gdzieś z prowincji przybyły... Lecz sztuka jednoczy, zbliża, rozgrzewa. Niech gra, niech fantazjuje /byle nie komponował tak trudnych, niezrozumiałych nowości./!

Sława jest lodowata. Bogactwo boleśnie razi. (A w Bonn, wchodząc przez rodzicielski próg, trzeba się było pochylać.) Zacne te książątka i sztukę kochają jak mogą, ale przyjaciół niema. Karol Amenda /ubożuchny, a zacny, że aż nie Wiedeńczyk/, to jeszcze człowiek. Cicha, dobra dusza, do zadań duchownych przygotowująca się z pokornem oddaniem i siłą wiary. A przytem skrzypek. /Kiedy raz na skrzypcach zagrać mi kazał i posłuchał przez chwilę tego skrzypienia, trzasnął mnie w plecy: "Zlituj się, przestań!!"/ W liście do niego: "...pośród dwóch ludzi, co moją całą miłość posiadali, ty jesteś trzeci." Więc jeden on . A cała ta znakomita Lichnowszczyzna, wszystko to jednak: w y c h o w a n e bardziej niż gorące, wykształcone bardziej niż głębokie; a etykietalne, a dyplomatyczne, a sztywne...!

Kochana dusza Wegeler przyjechał, niech mu bogi dadzą zdrowie! Poskarżyć mu się odrazu na te obiady:

- "No i mam codziennie o pół do czwartej być w domu, ubrać się nieco lepiej, o zarost dbać i tak dalej - tego ja nie wytrzymam!"

Więc się w gospodzie najbliższej cichaczem jada, bez przymusów, bez uprzejmostek.

To są najjaśniejsze chwile. Potem podróże do Berlina, Norymbergi, Pragi. W Berlinie przyjęcie pełne zapału i łez zachwytu. W Norymberdze spotkanie obu złotych bonońskich chłopaków, Breuningów. Wspólny powrót. Zjawia się Reicha. Zjeżdżają obaj bracia: mały, rudy Karol i rosły, piękny, elegancki Jan. Nieodrodni spadkobiercy walorów ojcowskich, znakomici reprezentanci miłej rodzinki.

Po podróżach nowa praca, nowe studja i kompozycje. Dokuczają lekcje, ale cóż robić? Wymyślone też właśnie dla tej natury zajęcie szczególnie tępe, ciasne, pedantyczne. Uczniowie garną się z wszystkich domów arystokratycznych. Twardego trzeba przełamywania własnego uporu, by po sto razy jeden takt kazać mękolić uczniowi i rączkę wypieszczoną poprawiać i palce dyktować i wołać i prosić i cierpliwie pokazywać. Cóż dziwnego, że się w liście do doktora Wegelera /Eleonory teraz małżonka/ pisze pod adresem smutnej pani:

- " Dobrej pani radczyni powiedz, że nawiedza mnie jeszcze niekiedy mój"raptus"...."

Wreszcie taka osóbka za lekcje płacąca gotowa nagle zapytać niewinnie przez ramię:

- Jak to się gra?

- Co takiego? Jak? No to się g r a i na tem koniec!

REDUTA

Fragment VI str. 78 - 86.

"Odwagi! Przy wszystkich słabościach ciała jednak panować ma duch. Dwadzieścia pięć lat - oto już są. Ten rok rozstrzygnąć musi pełnego człowieka."

/Jak jest smutny, o tem mówi w adagio Sonaty Patetycznej, prosto rzewnem i szukającem wyjścia; sonaty, która jest patetyczną tylko w introdukcji Grave, a namiętnie, rozlewnie bolesną w całej pierwszej części/o swoim twórcy rzekła dopiero kilka słów zapowiedzi/./

"Ten rok rozstrzygnąć musi pełnego człowieka".

Rozstrzygnął. Rozstrzygnął ślepem, strasznem uderzeniem prosto między oczy.

Z dolegliwości rozlicznych, nękających ciało już w zaraniu młodości, z mizernych, dokuczliwych nie domagań, powoli wysuwa się maska o bezgranicznej ohydzie. Niewidomy płaz długie, ostro śpiczaste kolce wysuwa i z uciesznym chichotem, powoli, z perwersją zawziętego przeznaczenia, szuka miejsca, gdzieby ugodzić najcelniej. Jak Zygfryd u źródła nachylony nagość swą odsłonił oszczepowi śmierci - tak Beethoven, niewinny, nieopatrzny, staje bezradny przed zagadką nowego ciosu - i ufnie oczy zamyka. Już ugodził oszczep, już ból śmiertelny śpiczastą igłą przeszył tajnie mózgu - i czerwia osadził w narządzie sztuki, narządzie życia, narządzie nieba. W uchu.

Co tam: ból. Co tam: tragedja. To są zabawne słowa. Widzieliście piękne zdrowe dzieciątko utopione w gnojówce? Uszy tępieją. Przyjdźcie się śmiać. Krew mi ciecze z rozgryzionej wargi.

Przyjdźcie pod moje okno, ja wam ucho jedno i drugie położę na misy czarnej i podam z uśmiechem, a wy powiecie: biedaku miły,- chciałeś być muzykiem. Jeszcze kilka lat, a będę jak pień.

I potem będę kom-po-no-wał.

Tylko, że będę musiał pokazać wam kartę, moją kompozycję ostatnią, a ta karta będzie biała, bielusieńka, jak moja twarz w tej chwili, nic na niej nie będzie - n i c !! - a wy powiecie: zajmij się, kochanie, czem innem...

Pies szczeknie: biedny Beethoven.

I ja śmieszny, nieforemny karzeł, myślałem, wyobraziłem sobie, żem na to, na to właśnie stworzony. Kto mnie stworzył? - kto? - - - To fałsz!!! - p i j a k mnie stworzył i dał dziedzictwo nielada. Dalszych moich słów nie słychać, bo po pierwsze jestem podobno głuchy, a powtóre coś za mną bełkoce. To j a szlocham? /- A co będzie z Symfonją zaczętą, z sonatami naszkicowanemi, z septetem słonecznym...? - /

Śmiejmy się, owszem! Zmeskall, wina! Drogi Amenda, wyjechałeś, śmiałbym ci się w oczy teraz z twoim kościołem. Muszę głośno mówić, bo nie słyszelibyście mnie. Cały świat jest głuchy, a ja jednak l e p i e j słyszę od was!! Lepiej. -

Ten rok.

Ten rok jak Odyssowi zalepił mi uszy.

Ten rok wymierzył mi wielki, na cały świat donośny, brutalny policzek.

Ten rok rozstrzygnął pełnego człowieka.

- -

Kiedy Beethoven w początkach roku 1798, po wielu niepewnościach, po sprzecznych opinjach lekarskich i bolesnem łudzeniu się uzyskał pewność, że traci słuch i że rozwoju kalectwa nic powstrzymać nie może - wówczas był moment, w którym cała jego jaźń, cała osobistość twórcza i ludzka, obciążona słodkiem brzemieniem chęci, tęsknot i nadziei - przez krótką, rozdzierającą chwilę, niezdecydowanie, wolno zakołysała się na ostrej, bezwzględnie stromej krawędzi urwiska. Obłąkane oczy w tej sekundzie ujrzały bezdno tak głębokie, że ginęło w zgniłej, niewiarogodnej przepaści. Życie minione i przyszłe błyskawicznie skupiło się w twardy, nasienny, groźny węzeł, a w tym węźle były losy stuleci.

Z dalekich szlaków zbiegły się zdyszane twarze, w szumie skrzydlisk opuściły się chmury, stworzenie wszelkie do jedynego przed topielą ratunku, do Arki zleciało się w ostatecznem przerażeniu, i w tłumach nieobjętych okiem w tej jednej chwili zrobiła się okrutna, pusta, trupia cisza, jak

przed wybuchem wulkanu. Światy widziały ten węzeł streszczonych dwóch żywotów - widziały, jak się w tej porze nieziemskiego podniesienia genjusz pochylił wstecz - naprzód - wstecz - i potężnie drgnął - jak w oklaskach rozpasanych zgromadzonego stworzenia począł iść - zawisł - w powietrzu zawisł - i przez powietrze, przez powietrze przejrzyste począł iść - iść - iść - - -

Siada się w samotnym fotelu i teraz można mówić głosem, w którym już niema łez. Ani jednej łzy. Teraz można widzieć siebie, widzieć jako człowieka - spokój - spokój - ucięto rzeźbiarzowi ręce proste, równiutko w przegubach - teraz można pięści złośliwie zacisnąć - prawicę groźnie podnieść i wrzasnąć: "Przeznaczeniu w paszczę sięgnę!!" Można w zamyśleniu już spokojnem, chociaż smętnem, odchrząknąć i być szerokim, smutnym jak dusza:x) Przyszedł do mnie ból - znajomy stary - ale się zdobył na siłę szatańską - nie pytał - z całą pompą orszaku pogrzebnego chciał nademną trumnę zawrzeć - ale mu się nie udało - po stokroć nie! - i teraz przykucnął za mną i to on, on żali się skomleniem smutnem, że mnie pokonać nie zdołał - pod oczami zamkniętemi dzieją się rzeczy niesamowite - węzeł skupienia dwóch żywotów osadza się basowo w moich oczach - oczy pod powiekami rozwierają się szeroko - ból w mózgu - już teraz wiem! - rozkołysała się w rytmie wielkim dzika wichura włosów - to nie dzicz, to przenajświętszy spokój, to nieporównane milczenie, jakie jest w duszy Boga w naturze święcie utajonej - z mojego spazmatycznego smutku rodzi się już czysto, już bez bólu - po przez kurcz zawartych ogromnie warg - rodzi się muzyka - to dopiero jest muzyka - od szczęśliwości aż ból piersi tłoczy potężnie - takie wizje tylko czasem w chwilach jasnowidzenia przez krótkie mgnienie oglądali: Platon może w rydwanie uskrzydlonych koni, Michał Anioł archanielski w geście prawicy mojżeszowej, ale nikt inny, nikt... Ja to mam wcielić, ja zapłodnić świat ziarnkiem, które pośrodku mego czoła złożył wielki, dobry Bóg.

Słuchajcie: jestem smutny i jestem szczęśliwy. Mam w sobie ból najwyż-

x) Largo e mesto sonaty VII.

szy i sumę rozkoszy, stokroć nad wasze większej. To jeszcze przyjdzie - pokażę - nie schowam zazdrośnie - pokażę, jak Bóg, nie zniżając się, człowiekiem jest prostym, jak człowiek, ten codzienny, najmizerniejszy człowiek, ciszę pomazania Boskiego na sobie nosi w cuchnącej szmacie żebraczej.

To wszystko w tej pokornej bez złorzeczeń pieśni Largo e mesto, szerokiej i smutnej, spoczywa na dnie w przeczuciu bolesnem - ale teraz mam pewność, teraz nie wątpię, teraz otwieram drzwi waszego, waszego świata i w spokojnem namaszczeniu obwieszczam:

„SIŁA JEST MORALNOŚCIĄ CZŁOWIEKA WZBIJAJĄCEGO SIĘ PONAD INNYCH - I ~~[illegible]~~ ONA JEST MORALNOŚCIĄ MOJĄ."

Zapamiętajcie te słowa. One powrócą w mojem orędziu, powrócą w stokrotnych do drzwi losu pukaniach, w każdym dźwięku, w każdej drzazdze w walce odrąbanej i w powtarzaniach stokrotnych:

Kraft ist die Moral des Menschen.

Ja wam pokażę rytm życia, bogactwa wnętrza ziemi, poezję przestworów, tragedję człowieka. Ja w sobie przełamałem ołtarz ziemski, ołtarz zrobiony, a teraz na i n n y zniosę głazy straszliwe. Ja w gruzie zagubionej ideologji odszukałem ciężką pracą, uszu moich, u s z u poświęceniem, odszukałem nić wyjścia, idę dalej i ciągnę was za sobą, opornych, ociężałych, bałamutnych, tragicznych. Czy to nie jest radosne, czy to nie jest boskie? Czy to nie radość, upojenie, spokój wieczny?

Weź teraz brudną, ~~[illegible]~~, owrzodziałą, chorą dziecinę i z dobrocią słodką przyciśnij do piersi - potrafisz? Nie potrafisz.

Moją pracą - modlitwa. Moją modlitwą - czyn. Moim czynem - JA.

Ja cały. Wielki. Nagi. Jak na pustyni Chrystus poszczący.

Fragment VII str. 102-111.

"Nieco przyjemniej żyję, teraz, bo znowu więcej wszedłem w towarzystwo ludzi" - pisze do Wegelera. "Nie uwierzysz, jak pusto, jak smutno spędziłem życie w ostatnich dwu latach. Jak upior zjawiał mi się wszędzie mój stępiony słuch i uciekałem od ludzi, mizantropem wydawać się musiałem, a przecież tak nim wcale nie jestem.- Przemiany tej dokonała kochana, czarowna dziewczyna, która mnie miłuje i którą miłuję ja; od dwóch lat jest to pierwszych kilka chwil błogosławionych ...."

Czarowną, kochaną dziewczyną jest młodziutka uczennica, Giulietta hrabianka Guicciardi, nadobna córka włoskiego emigranta i radcy dworu, niedawno na stałe w Wiedniu osiadłego. Siedemnaście wiosen igra wkoło lekkomyślnych wicherków na czole, w oczach przegląda się dziecinna melancholja niezaznanego życia. Dopiero pierwsze mdłe zapaszki tego jaśminowego życia drżą w zaciekawionych nozdrzach różowiutkich, a piękno warg rozchyla się wilgotnie i nie wie czego chce - całowania chce. Cała lekkość, kokieterja, cała nieświadomość niebezpieczeństw igrania z ogniem żarzy się w tych rozwartych oczętach. Kochali się. On całym oddaniem bujnej, rozszumiałej męskości, ona z płochością podlotkowatego zadurzenia się, z miłą dumą próżności kobiecej, której pierwsze trofea ścielą się oto u nóżek w postaci dzikiej czupryny bardzo sławnego muzyka. Mowa jest nawet o małżeństwie: matka sprzyja, ale pan radca słyszeć nie chce o mezaljansie tak skandalicznym. Hrabianka przemarzyła pierwszą miłość, zaczyna chłodnieć, krzywić się, grymasić, nareszcie daje do zrozumienia, boczy się i ...robi partję godną swego stanu, a papie nader miłą. Wychodzi za hrabiego Gallenberga, z hrabianki robi się hrabiną, a mąż jej, "także" muzyk, weselszej muzie hołduje, nie mroczy się i nie cierpi, lecz komponuje w ciągu życia pięćdziesiąt baletów.

Imię tak pustej i płytkiej istotki, wyryte na wieki na czele szczytnego wzlotu ducha, Sonaty quasi una fantasia /op.27 nr.2/ - później przez kogoś nazwanej "księżycową" - jest świadectwem, czem dla Ludwika była Giulietta i jak przeboleć musiał ten zawód. Powstała ta sonata z miłosnego w jej oczy spojrzenia, z ułudy, że to miłość, o jaką on krzyczy. Ponury, czarnemi chmurami ciężko zasnuty horyzont faluje, zaciąga się gęściej, przeczucia dalszej, otwartej drogi tętnią w pełnej melodji.

Melodja, która nie zrodziła się, nie powstała , ani we mnie, ani w świecie szerokim, melodja, która b y ł a , przedstworzona, zaczajona wszędzie. Nie przyszła, nie nadpłynęła - moja tęsknota przywiała ją niesłyszana, moje zadumanie chmurne. I teraz jest we mnie i jednostajnie wznosi się, opada, bije łagodnie o ściany serca, to mocniej, to przycicha i głaszcze, boleść minio-

na echo niesie twardych targań i zgrzytów, rozranień, zmiażdżonych ufań i wszystkiego, co jest bezpowrotne. Melodja, w spokoju niespokojna, w wyrzeczeniu jeszcze podskórnie przecząca dwukrotną noną dysonansu. Odblask niewyspanych źrenic, niewymówionych słów brzęk rozłożony, akord modlitw niemodlonych, bo taka modlitwa to strwożonem sercem szukanie Boga pod każdym listeczkiem, za przysadzistym krzakiem, co w nocy bezszmernej przyczaił się i mówi "hu!" - w każdym odczytanym hieroglifie dziwadła gałęzi na tle mniej czarnej, symetrycznej kopuły nieba, w głazie, co się zgubił i zmoczony obudził pośrodku strumienia i krzywdę mu czyni i już wyjść nie może. I niema źdźbła, coby się nie żaliło. Niema jednego atomu, coby nie wtórował współczującą pieszczotą mojemu rytmowi, co teraz powraca w głębokiem stukaniu basowem. Pierwotna, zgodna harmonja płaczących, zbratanie zbolałych, senny tan tysiąca wyzutych z tysiącem pękniętych bajek tęsknych, kiedy nad zamarłym lasem przygrywa instrument Najwyższy.

Skocznie, w lekkich pląsach wpadły w to zacisze chochliki niemądre, przyniosły pogwar tamtej realności, podrygują w cienkich piskach dyszkantu, przekomarzają się swawolnie i coraz to jakiś przykuca zziajany. Nie wygnały tamtych myśli. Ich wrzawa już idzie na dno, tonie w kipiącym bulgocie odrodzonego bólu, w ciężkich przewalaniach trawiącej udręki, zapowiada to najgorsze, co przyjść ma, to wielkie, co już idzie. Jeszcze na moment zmęczone chochoły próbują podskoczyć, rozigrać to niechętne milczenie, jeszcze drgają - ale nagle, ale nagle: w tę pustkę krótkiej pauzy niespodziewanie rzucił się pojęk mocarny, trysnął- grzmotnął po lesie, przygiął do pół ziemi najwyższe głowy drzew - i już - i już:

Ach!!!Zatargały strasznie wszystkie namiętności, wszystkie krzywdy, żale, zniewagi losu - buchnęły masywnemi, wspaniałemi rakietami gniewnego cierpienia i zlały się w tragiczną, przejmującą pieśń ust, co się białe od bólu zrobiły, i wszystka krew odbiegła i stanęła odrętwiała w ostatniej odnodze żył, skąd już niema ucieczki. A ból trzyma, trzyma, targa, targa. Zelżał na chwilę, na przestrzeni sześciu taktów pasażu narzucił na głowę lekki woal i zmącił pamięć. Ale już, już powraca pamięć, w dokuczliwych, młotkiem w mózgu kujących małych sekstach, co wreszcie ustępują i obnażają dno, dno niesamowitego, demonicznego niepokoju, czarnego patosu bytu. Znów strzelają fontanny buntu, krzyki rozpaczy, wszystkie czeluście miarowo zioną zgodnym taktem męczarni - a oto wyłania się znów twarz bez kropli krwi, stoi niema, z niewystygłym śladem pocałunku na czole, znowu znika pod chłostą nawałnicy, a huragan globem teraz trzęsie, wali, trzaska i tratuje i rykiem straszliwym ducha boleści oddaje w sześciu arpedżjach ostatecznych... Jeszcze jęczy, jeszcze pobrzmiewa - i milknie, oddychu umęczenie w basowych dwu wielkich fermatach. Potem jak zwyciężonej bu-

~~dychu umęczenie w basowych dwu wielkich fermatach.~~ Potem jak zwyciężonej burzy poszarpane chmurzyska, przepędzone, w rozsypce, w popłochu, gonią się, pchają, gnają w dal, precz z tego miejsca pokoju.

--- --- ---

Aby dziś dotrzeć do jądra Sonaty cis-moll i móc utonąć w pięknie tego dramatu namiętności wgryzionej w cichość serca, trzeba ją wprzódy wyłuskać z tynkowych powłok wiekowej popularności, odrzucić miljonem grzesznych palców zmiętą, wybrudzoną okładkę. Sonata cis-moll jest bowiem dziełem skończenie wielkiem, mimo, że ręce bez liku ustawicznie zniec zuleją jej nuty; jest gmachem o doskonałej równowadze brył, mimo, że jest popularna w tak okropnym stopniu.

Słuch powoli, stopniowo szedł na ofiarę.

Katastrofa tego przejrzenia przylgnęła do Beethovena i odtąd będzie buchać raz po razie, a do końca dymić spokojnem, świętem całopaleniem.

List do pastora Amendy, pisany w tych latach, niech będzie tego przezwyciężenia refleksem:

"Jakże często chcę Ciebie mieć przy sobie, bo Twój Beethoven żyje bardzo nieszczęśliwie, w walce z Naturą i Stwórcą, niejednokrotnie już złorzeczyłem Jemu...Wiedz, że części mojej najlepszej, słuchu, bardzo mi ubyło; wówczas już, kiedyś jeszcze był u mnie, czułem oznaki, a zamilczałem, teraz coraz to się pogorszyło, czy to się da uleczyć, na to jeszcze poczekamy...Jak smutno teraz żyć muszę, unikać wszystkiego, co bliskie i drogie...Smutna rezygnacja, do której uciec się muszę, postanowiłem wszakże podnieść się ponad to wszystko, ale jak to będzie możliwe?...Sprawę mego słuchu proszę Cię zachować jako wielką tajemnicę i nikomu jej na świecie nie udzielać."

To są ostatnie, krwawe żale ludzkie, ostatnie szlochy buntu, wołania o pomstę wielkiej krzywdy. A tymczasem duch już wyszedł ogniem chrzczony i na barki brał swoje tworzywo niesłychane i pracę swoją począł pracować.

Że przytem "zdziczeć" musiał nieco i zewnętrznie upodobnić się otoczeniu, to już była drobnostka. Trudno, ale kiedy się tyle ma w sobie, to trzeba n a t o mieć wzrok skupiony i kołysać t o w sobie i po za t e m nie może być miejsca. W momentach wytchnienia czytać można, czytać starego Homera, Eurypidesa, Horacego, Platona i Kanta, bujać na jasnych ideałach Schillera, wczytywać się w Goethego, który jest wielki, ale tak inaczej, tak inaczej...

I uciekać z domów. Pędzić po wzgórzach omszałych wilgotnym, płodnym lasem. Codziennie kilka razy zadyszeć się żywicą. Co rok na lato wynosić się z pyłu i zjadliwości w podmiejskie ustronia, do Hetzendorf, Mödling, Heiligenstadt.

Tam czytać, po raz nie wiem który, katechizm przyrody, Krystjana Sturma, "Rozmyślania o dziełach Boga". Tam tajemnicę swojej głuchoty powierzyć można głośno tej całej czeredzie kochanej - i nikt się nie zaśmieje, nikt warg nie zagryzie, nikt nie zelży parszywą litością. One mają inny głos, inny słuch. One tam zawsze rozumieć będą; ich szept najcichszy bez uszu słyszeć można.

Ucho jest instrumentem przepięknym, tak jak je zrobił Bóg. Ale je człowiek pokalał, zgrubił, nastawił na dźwięki ostre, nieprzyjazne, głośne, złe. Trzeba przywrócić mu wrażliwość pierwotną i dlatego trzeba je oddać. Oddać Bogu sponiewierane, aby je uleczył. I na jedno życie trzeba nie mieć zewnętrznego ucha. Nie mieć.

To najważniejsze. A pozatem trzeba urobić serce czyste, wyzbyte złości. Jak dzieciątko. Tego uczy natura. I dlatego ludzie wyjeżdżający do Baden i Mödling na lato, nudzą się. I dlatego muszą szukać podniet, igrzysk, towarzystwa. Trzeba im dobrze życzyć. I dobrze czynić. Dobrze czynić najpierw tym, do których się przylgnęło przyjaźnią. "Żaden z moich przyjaciół nie może być w biedzie, póki ja mam cośkolwiek". Tego uczy natura.

Tego uczy się człowiek, to wieczne dziecko, w odludnej szkole natury. Pośród ciemnej, rozlanej ciszy, kiedy o tem, że są ludzie na świecie, mówi tylko ta mizerna tasiemka dymów nad horyzontem, nad rozhuśtanym Wiedniem. Tu nie ma kłótni, muszka skałom śpiewa, dąb kolosalny całuje chmury co niższe. "Jak gdyby drzewo każde mówiło do mnie: Święty, Święty..."

Fragment VIII str. 117- 123

Podzwonne testamentu Heiligensztackiego, echo wtórne, już utulone, Marsza na śmierć bohatera, brzmi w nastrojowej środkowej części, wplecionej w Adagio grazioso Sonaty szesnastej /op.31 nr.1/, sonaty zresztą dziwnie płytkiej, technicznie wdzięcznej, efektownej, wypoczynkowej; brzmi w jednem z najgłębszych adagiów w Sonacie siedemnastej /op.31 nr.2/, w którem już drga najistotniejsza prawda muzyki beethovenowskiej, to boskie zaprzeczenie logiki konstruktywnej w imię logiki wewnętrznej / przy całej zresztą czci dla nieskazitelności formy/, ta rozlewna błogość w cierpieniu; podzwonne to wibruje w patetycznem Allegro Sonaty następnej /op. 31 nr.3/, przy którem trzeba myśleć o szale pędów podniebnych, co nie przełamały skorup woli, o nagłych błyskach jasnowidzenia, o zdławionych zamyśleniach przetykanych seledynową nitką szczęścia, albo o mocy utajonej w boleśnie pękającym kiełku mizernej trawki, rozpychającej żyzny żywot ziemi.*) A zaraz potem w Scherzo znów ten wiecznie przedzierający się przez wszystko na świat, podziemny, rozpalony, pożerający wrzątek lawy jakiejś gorącej, ten kawał chemicznego stopu piekieł i nieba, ten najdolniejszy element Beethovena, który w Symfonjach, w Appassionacie, w sonatach Waldsteinowskiej, Kreutzerowskiej i ostatniej, na momenty zlewać będzie wszystkie sprzeczności światów i z wielkiej góry paradoksów stawi posąg nieprawdopodobny - ten dobry demon rozdzierającej ciszy, ta siła, co złorzeczącą dłoń układa w gest głaskania - to życiowe Tempo rubato /rubato - kradzione, bo istotnie skradzione chyba w zachwycającej śmiałości bogom zaskocznym, co miały ukarać złodzieja, lecz oto stoją oniemiałe i nie mogą, takie to jest piękne/. Potem szlachetny menuet, umiarkowany i wdzięczny, i trio, mówiące bardzo wiele, pytające jeszcze więcej, ale stłumionym, uprzejmym głosem. Czy następujące Presto con fuoco jest ciężkie czy powiewne, namarszczone czy wesołe, rewolucyjne czy głośno potakujące, niewcześnie płoche, czy krzyczące tryumfalnie? Właśnie, że jest wszystkiem jednocześnie. Jest tańcem dionizyjskim, ale bez ciał, bez szat, bez gruntu. Fortepian, jak zawsze w sonatach co najwyższach, jest orkiestrą - dyszkant oddaje fletom i filuternym pizzicatom skrzypiec, a poprzez altówki, łagodne oboje, śpiewne klarnety - otwarty tenor ufnie porucza wiolonczelom, a w lewej połowie klawjatury już władzę dzielą bezzazdrośnie: waltornie dalekie, organne fagoty żałosne, trąbki, puzony męskie i uczuciowe, z tubą kontrabasy ożenione i bogata perkusja od kwintowych

---

*) Poetyczne, lecz umniejszające wysokość tej sonaty są zapytania: Liebst du mich? Liebst du mich? Liebst du mich nicht? - jakich dosłuchuje się w czterech pierwszych taktach tej pierwszej części Gustaw Ernest.

kotłów i tępego bębna z talerzami do stanowczego werbla i subtelnie zaczajonej campanelli. O ile formy koncertu, sonaty, kwartetu i symfonji różnią się jedynie obsadą instrumentów, a treściowo tworzą jeden rodzaj kompozycji - o tyle Presto, o którem tu mowa, wyraźniej niż cokolwiek przed oczy stawia pełne, rozfalowane, tętniące w takt sześćdziesięciu ośmiu conajmniej instrumentów, krwiste finale symfoniczne.

Wracając do Sonaty siedemnastej, posłuchajmy tej zniewalającej głębi motywu przewodniego pierwszej części, musującego naprzemian w basie i wiolinie poprzez tło prostych tryjolek; ogarnijmy treść onych cichutkich zastanowień w rozpływających się largo arpedżjach, a pod koniec tej części zastanówmy się, ile proroczego, skromnego nowatorstwa czai się w tej ogołoconej dwukrotnej kantylenie con espressione e semplice, co wykwitła ni stąd ni zowąd i zgasła w czterech cichych akordach kontynuacji Allegra, a rzuciła niespodzianą nić, którą kiedyś podjąć miał Wagner. W takich napomknieniach i rozrzutnie rozsianych w jego tworze błyskach mieści się tajemnica faktu, że cały ów legjon późniejszych wielkich zrodził się z tego czoła Jowiszowego, że rodowody Czajkowskiego, Liszta, Smetany, Griega, Puccini'ego, ba Chopina i Schumanna wiodą wstecz w rozgałęzioną, tajemną, mityczną, bezdenną sieć żyłek ducha Beethovena.

Skoro z oszołomienia pracy wyjrzeć na świat Boży, dzieją się tam rzeczy niepojęte. Niewiele ponad dziesięć lat od tych czasów minęło, kiedy w Paryżu najpilniejszym robotnikiem była gilotyna. Szkicowało się wówczas warjacje Righini'ego, odbierało z kasy książęcej pierwsze pensje ojcowskie. Odtąd wiele się przemieniło, wewnątrz, w uszach i na świecie. Francja, ujęta w nowe karby dwojgiem żelaznych rąk, odżyła i poczęła grozić Europie. Pierwszy Konsul, młodzik śmiały, po wywróceniu Dyrektorjatu wśród krzyków entuzjazmu począł rządzić nad krajem nieobeschłej krwi. A poczynał sobie, jakby naprawdę niósł nową erę, bez pytania walił coraz to nowym młotem - i od każdego uderzenia drgała ziemia i trwalił się grunt pod stopą. Generał artylerji przedzierzgnął się w istotnego Konsula, prawodawcę, dyplomatę, pedagoga, finansistę, strażnika dóbr ludu. Armje ciska na Włochy i Austrję, a każde stąpnięcie jest zwycięstwem.

To człowiek!! To człowiek wytęskniony, wymodlony, niosący w garści spiżowo zawartej siłę olbrzyma, co zdolen jest światy obalać i stawiać! Na niego czekały epoki ujarzmione, siła człowiecza niewyzwolona. Jego wyglądał skarlony duch i jego imię wołał zeschłemi wargami. Purpurowa głoska tego imienia grzmiała fanfarą odrodzenia. Ta siła idzie, dudni jej krok, już jest blisko,

tratuje, bo tratować musi, ale kartaczami pisze przykazania wolnego człowieka W to palące się w zenicie, wielkie, skry ciskające

N

wżarły się oczy młodości, oczy lotu, oczy demokracji, oczy zdobywcze! -

Biegał po lasach w słotną porę wichrów, ciskał wokoło rękami niepohamowanemi, w głowie czuł rozhuk zawrotny, już się z jękiem uginał pod nawałnicą muzyki, jaka się teraz kładła nań i dech zapierała. W oczach gorączka rozpaliła ostre, niesamowite błyski.

Rano, po przebudzeniu, zlewa się wiadrem zimnej wody od stóp do głów, a mruczy przytem, wyje, śpiewa i tworzy. Ledwie odziany jako tako, pędzi przez ulice na pola, na rozłogi w przymrozku stężałe, na wiele godzin samotności. Wskroś rowów i miedz sadzi zapamiętale, krzyczy obłędnie, aż się woły u woza w Gneixendorfie spłoszyły i uciekły wystraszone, wiewa połami niebieskiego fraka, obciążonemi sporym notatnikiem, zeszytem do piśmiennego prowadzenia rozmów, grubym ołówkiem ciesielskim i słuchowemi instrumentami. Coś z wiecznego, północnego tułactwa, upiór niepokojący wzgórza wiedeńskie.

Nagle przystaje, raptownie odwraca się, rękę do ucha przykłada, skupia się cały w namarszczonych brwiach: - hen - słyszy oddźwięk imienia: - serce bije głuchemi kwintami: - Napoleon. - Kroczące miljony. Bohater bohaterów. Dysonansowa statua przyszłości. Wołanie. Tchnienie światów całych. Ogrom. Krzyk. Daleka pobudka wyzwolenia. Huk. Korne pochylenie. Waltornia. Błogosławieństwo gromów. Tłumna ofiarność gwiazd. Rytm archaniołów. Hymn otwartych grobów. Łyskanie. Prorok w ognistym wozie. Pląsy niestworzone. Pochód w ulewie gradów. Wszechorkiestra. Potworny strzał. Pancerny huf trąb! Wicher porywający! Zorza, zorza, zorza!!

W ogłuszającym szumie, w błyskach i blaskach, w gorącem musowaniu czoła rodzi się symfonja. Pierwsza wielka Symfonja. Symfonja Bohaterska. E r o i - c a. Objawienie Napoleońskie.

Fragment IX str 66-69 /z dużego rękopisu/

Bardzo wiele przeminęło. Bardzo wiele dokonało się, spłynęło, zapadło.

Były godziny, wiele ich było. Były godziny zadumania i rachunku, pojednania i wzdrygu, szału i niepamięci. Były godziny zapasów z samym, samym Bogiem i noce krzyżem przeleżane przed własnym genjuszem. Był szczęk przegryzanych skorup, łoskot zamykanych wiek, walenia się sklepień samsonowych, rozbłyski rażących jasnowidzeń i tępa czerń przekreślonej woli.

Wszędzie to samo się dzieje. Bonaparte pasuje się z widmem starego świata, muszka jesienna na mojej szybie walczy z rozpaczą o powrót ostatnich błysków słońca, ja zmagam się potężnie z potworem muzyki, krzyczę straszliwie w moje ucho, które odchodzi. Wielki świat w małym świecie. Maleńkie czyny w czynach przeogromnych. Wszędzie to samo się dzieje.

Co to jest zmysł?

Spłynął na świat okruch najwyższej, powszechnej i jedynej Ś w i a d o m o ś c i /można to nazywać Celem, Bogiem, Sztuką lub Emocjonalnością/, zjawił się i jest i działa: wolą, uczuciem, domysłem /czyli onym trójnogiem świętym, na którym niewidzialnie a błogo panoszy się...Miłość/. Natenczas zdarza się ta chwila, kiedy wyzbywa się ów okruch ogromny wszystkiego, co przyszło, co było od początku, co nastało, co się wytworzyło, co przyrosło i przylgnęło. Groźna chwila. Według normy kończy się obłędem - ale czasem zdarzyć się może, iż wypływa po drugim stoku tej przełęczy, której nie przekroczył nikt i która nie zawiera nic: jest bez kresu, bez definicji, bez kategorji. I wówczas ten okruch ogromny jest najpełniej wyzwolony i wypowiedziany chyba być nie może. Wówczas kończy się tam, gdzieby się kończyło wszystko: nie kończy się wcale.

Co przyszło do mnie ? Co utworzyło się w labiryncie mego ciała, co narządem najczulszym wrosło we mnie? Zmysły. Czynności i funkcje. Organy recepcyjne, kanały ku światu. Nie język, nie wzrok , nie czucie fizyczne - bo te zmysły mącą jeno, mieszają,niepokoją. Jeden, jeden zmysł, któremu cześć się należy i wieczny pomnik - bo we mnie łączność stworzył z tem największem, co było - z Bachem, Händlem i Mozartem - bo wogóle uczynił możliwym kontakt z tymi , którzy nie są jak ja - jedyny zmysł, który przyjacielską jednię zadzierzgnął między duchem moim a tem wszystkiem, co do ducha mojego chce iść a jeszcze nie umie.

Ucho.

Ucho moje! Bracie serdeczny - niższy odemnie, ale mój! Czy ty , ucho moje wiesz, co znaczy stworzyć wieczny czyn, co znaczy płasko rzucić się na ziemię przed motłochem, aby go zbawić na wieczność? Czy ty jesteś tak wielkie, jak ja

- i pojmujesz, coś ty na siebie wzięło, wrosnąwszy w kształt mojej wielkiej czaszki? Czy ty nie drżysz od strachu śmiertelnego przed oną straszliwą ofiarą, jaka się na ciebie bezwzględnie położyła całunem radosnym? Czy ty wiesz, żeś na to jeno przyszło, aby w jednej strasznej chwili brutalnie własną ręką z e r w a ć to, co ciebie łączy ze mną - i pójść i odejść - i tam przed Sądem jedynym klęknąć okrwawione, wydarte, kaleczne, nieswoje - i milczeniem wielkim o wielkiej rzeczy zdać sprawę: jestem - oderwane - głuche - samo. Jestem. Spełniłom nakaz. Zostawiłom go - w cichości ostatecznej - bez ucha - jestem: - głuche - a teraz o n jest słyszący - ogromnie Słyszący - a ja się kładnę na wieczny sen - i wiem, że nie próżno, bo w j e g o muzyce spać będę - a ofiara była wielka - i płodna...

Nie rozumiem, dlaczego ludzie się dziwią, jeżeli w długiej chorobie nagle ocknie się duch dogorywającego - i w powszechnie cichą noc rozelśni się jasnością radosnego krzyku. Dlaczego w takiej chwili czują dreszcz niesamowity i mówią, że to jest "okropne". Nic nie jest okropne. Wszystko jest wieczne. Wszędzie przebłyskuje to jedno - TO JEDNO - nie nazywajmy Go - i w malignie przedśmiertnej - i w pojedynku niebywałym Napoleona z ginącym światem - w mojem cichem pożegnaniu z uchem.

Więc dlatego: - były godziny rachunku /minęły/ - były godziny zadumy /zgorzały/ - pojednanie jest wielkie i jedyne, niepamięć zmienia się w jedno niezmienne, wieczne jasnowidzenie - a uprzedzenia ludzkie i skargi słabowite i świadomość tak zwanego kalectwa zostały z a m n ą i już ich skomlenie małe nie wzrusza mnie, bo jestem zbyt daleko. Gdybym był został blisko, przy nich - możeby malancholja nadszarpnęła nieco stałością tego wszystkiego, com poza sobą ostawił - ale ja zbyt odległy już jestem - i w duchu moim poczyna się mój pierwszy głos - opus pierwsze mego ducha - symfonja moja pierwsza - trzecia, ale najpierwsza z trzech - na innej, nowej płaszczyźnie - walka j e g o z wiekiem rewolucji - walka m o j a z tysiącleciem, kiedy ludziom potrzebne było ucho.

Walka moja.

Słuchajcie:

Dwa mocne, prawie twarde, bardzo świadome i proste akordy w es-dur. Introdukcja niepotrzebna. Ci, do których mówię, a więc wy nieliczni, ja - i mój przyjaciel umarły, ucho moje - ci mnie zrozumieją. Bez wstępu, poprostu i zaraz od samej rzeczy zaczynamy:

kochane wiolonczele w tej samej niezłożonej tonacji biorą w pełne, ciche ręce początkowy temat, z świętego trójdźwięku zrobiony, i tak go jasno, serdecznie, a z mocą prostoty stawiają na widowni, że nie może być zdziwienia, pytań,

wątpliwości. Temat bez zastrzeżeń rozwinął się w jednej chwili, dwojgiem dłoni trzymany pod światło, które sączy się jasno i jedynie z niewiadomych źródeł. I krótko temat utyka na niespodzianem cis wiolonczeli, by spłynąć w pięknem wyrównaniu harmonicznem.

W tym zasadniczym heroicznym motywie tkwi brzemiennie cała tajemnica walki - walki bezgłośnej, mocnej, ciężkiej - której potęga przejawia się nie w przypadkowym hałasie, nie w brutalnie tryskającej krwi mordowanego żołnierza , czy obciętego ucha. Tu siła jest w mocarności idei, dalekiego, a już prawie wyrąbanego celu - w cichości przezwyciężonego nadmiaru, w cudownej porażce samego siebie i własnej słabości, w ugięciu się przed t e m, co się w rzadkich momentach przed sobą w i d z i w oślepiającem stałą noc łyskaniu.

I teraz po stworzeniu heroicznej, wielkiej atmosfery - zaciekawienie czekających fletów, skrzypiec, klarnetów i obojów, ujeżdżających na szerokiej skali ekspansji symfonicznej - gotuje teren, wysypuje wonnem kwieciem i barwnym piaskiem kolistą arenę turnieju, w której spotka się z falangą starych zastępów - jeden, gorący, szeroki, zuchwały. Bohater.

Wszystko mi jedno, czy on się nazywa imieniem, czy on jest, czy go niema, niema jeszcze, czy to jest on, czy to jestem ja.

W tej chwili ja go widzę w ogromie, czuję go, chwytam plastycznie - i bez namysłu nazywam go:

Napoleon.

Ja go nazwałem. Jego może niema. Ja dałem mu imię. On je spełni. On huczy w rytmie pierwszej mojej prawdziwej symfonji. Ja go nie znam. Ale ja go słyszę. Bez uszu słyszę. Bo ta resztka uszu, która mi pozostała, tylko mi przeszkadza. - Ona gotowa mi jeszcze przynieść kłam onej prawdy, w którą wierzę, a której imię przezemnie nadane:

Napoleon.

(Następuje duży rozdział o treści III Symfonji.)

Fragment X.

W mieszkaniu czyjemś w prastarej skrzyni leży zapomniana wiązka listów. Na krzyż spłowiałym węzłem owstężona. Minęły tysiące dni , zanim mieszkaniec, z nudów może, a pewnie z nieostrożności, wdarł się w godzinie zmierzchu poza stuletnią granicę tej wstęgi. Rozsypał się przed nim bezład papierów, jak wyrzut dawno zapomnianych dobrodziejstw. Owionął go niezwietrzały oddech obcej duszy. I pewnie w takiej chwili, przerażony nadmiarem cudzego, czemprędzej pobieżnie osznurował wiązkę, cisnął napowrót w skrzynię, by już nigdy do niej się nie zbliżyć, by już nie męczyć się nawet myślą o jej obecności, by już na zawsze dumę swą obnosić, że wie o niej, że wie, skąd ona rodem. A może - ale w to wątpić należy świadomie i uporczywie - może zapomniał o wszystkiem , naprawdę, bez namysłu, o zupełnie wszystkiem,- może zasiedział się nad nią i już nigdy - przez całe życie i dłużej - od niej nie wstał. A jeżeli zponad listów oczy podnosił czasem, to nie ku czemuś: to w mrok przed sobą albo w jasny krajobraz, aby w zmierzchu kontury zobaczyć te same, a na szczytach krajobrazu też. I ciężko mu jest odtąd, nie tak łatwo mu uśmiech dobyć z oczu, a bardzo trudno śmiech. Tylko ta mała jest różnica, że śmierć widzi odtąd w każdem umieraniu, a w śmierci zgoła coś innego jak umarcie.

Gdy taki sam, przez "przypadek", za inną niewyjaśnioną przyczyną, idąc pośpiesznie ulicą i w tafle chodnika przed sobą zapatrzony, nieoczekiwanie, na jakimś ostrym narożniku, którego później już zupełnie nie pamięta, wpadnie na swoją książkę - zgubiony jest na zawsze. Zgubił się na wieki zpośród wszystkich. Szukają go; przyłożywszy dłonie do ust, woła rodzina, znajomi wołają i, dla towarzystwa, gromada okolicznościowo zainteresowanych. Jego niema. Na nic szukanie, bo już go inny znalazł. Książka może być z czarnych grządek czcionek, albo bardzo kolorowa z samych obrazów, albo plastyczna w marmurze, albo drżąca w pieśni.

To samo, co z listami, dzieje się z każdą rzeczą, na którą się w jej wielkości nagle wpadnie na przypadkowym narożniku swojej ulicy. To samo jest z Beethovenem. Kto go zna ? Kto go wogóle odnalazł ? W sobie? Kto go dobył z dawnej skrzyni ? Kto miał odwagę nie rzucić go natychmiast precz, jak sczerwienioną stal? Kto się pochylił nad nim w cichy wieczór swój? Komu się włosy zjeżyły za pierwszem dotknięciem ? Komu serce stężało jak w agonji, stopniowo przeradzając się na niesłychane związki chemiczne nowego serca? Jego książka czeka i stoi. Niemym sądem woła wszystkich. Woła ciebie i twego brata i wroga i tamtego. Musicie przyjść. Śmiało i radośnie - albo na kolanach. Kto się ostanie? Kto wytrwa i nie zblednie?

Tak, oczywiście: znacie go wszyscy. Bo jest znany i nawet "bardzo" sławny. To zupełnie wystarcza. Już to przecie jest kłopotliwe. W natłoczonych albo nudnie

wpółpustych salach wysłuchacie czasem tego i swego wśród drgawki wrażeń. Ale kto, wyszedłszy, jest przemieniony? Kto, słuchając, zrobił obrachunek z sobą? Nie kłamać proszę, bo tu się nie zakłamuje nic. Nazwisko wystarcza. Imię znać trudno, można poprzestać na samem nazwisku i umieć pisać je poprawnie. Trudna jest pisownia wielu nazwisk. A już imię... Imię w całem rozbrzmieniu i brzmieniu i podźwiękach długich... A już to, co się wytwarza nagle w powietrzu z chwilą, gdy imię właśnie przebrzmiało...? A tamto, tamto wszystko, co leży przed tobą, gdy imię dawno odeszło, gdy imię już / tym razem : szczęśliwie/ zapomniane, przepomniane, - tamto wszystko, z czem sobie pono rady dać nie możesz, bo wymaga, aby je ogarnąć, gestu niewiele mniej trudnego, niż tamten gest wówczas, gdy się rodziło i rosło. I, pomyśl, to wcale jeszcze nie będzie koniec, tu się dopiero zacznie wszystko, tu się dopiero powoli - powoli zaczniesz: ty.

Tu się nawiąże dziwny proces. Wszystko, z czem borykałeś się od lat, każde ściśnienie twego biednego serca, którego opisać nie mogłeś, każdą niewyjaśnioną ciężkość, wszystkie w pustkę z zaciśniętych warg ciskane pytania, i to najzupełniej wszystko, co nie może być ani rzeźbione, ani pisane, ani wymówione / nawet nie w obliczu najbliższej twarzy przyjaciela/ - to wszystko tu znajdziesz w niemożliwem natłoczeniu, w przerażającej, elementarnej naiwności. Formy się przemieniły: twoje pytania są w tejże treści, ale rozsłonione w jasny kielich odpowiedzi; ciężkość jest ciężka, ale już jej zbyć nie będziesz mógł i chciał / przywarła i jest tobą/. I widzisz, że oto wszystko jest wypowiedziane, jest rzeźbione i tkane i na piśmie wykute, jak tablice przykazań i nic nie jest marnością nad marnościami - i marności niema żadnej. A to wszystko, tę odrobinę najważniejszego, masz już na własność, boś tamto spotkał za nagłym narożnikiem i wziąłeś w siebie treść jednej bodaj symfonji.